ogromne ryby dokarmiane przez mieszkańców (co sugeruje, że woda jest stosunkowo czysta). Przy wodzie koncentruje się życie towarzyskie kobiet (przepierki i toaleta). W rwącym, płytkim nurcie zażywają kąpieli świnie, kozy, owce i psy.

Po południu opuszczamy Bobo – Dioulasso i ruszamy do Banfory. Dość trudno tu dotrzeć, ale warto, bo na miejscu czekają nie lada atrakcje. Pierwsza z nich to malownicze wodospady. Chłodna woda wręcz zaprasza do kąpieli, pomni przestróg lekarskich nie mamy jednak odwagi do niej wejść. Podziwiamy wodospady najpierw z dołu, a potem wspinamy się na skały, by zobaczyć je również z góry. Cały czas towarzyszy nam niechciany przewodnik. Jest bardzo nachalny i tylko utrudnia nam zwiedzanie. Nie zauważa, że nie może nam nic przekazać (nie zna angielskiego) i uparcie podąża za nami. Poniżej wodospadów jest piękna, zacieniona aleja wśród wielkich drzew. Normalnie panuje tu cisza i przyjemny chłód. Gdy my odwiedzamy to miejsce zajeżdża potężna wycieczka dzieciaków w wieku szkolnym i poziom hałasu gwałtownie rośnie.

Ruszamy na poszukiwanie drugiej lokalnej atrakcji – jeziora. Gdy docieramy – pierwszy efekt to rozczarowanie – zwykłe jezioro, a wokoło nic, tylko pola i łąki. W cenie biletu jest wycieczka pirogą. Skwapliwie z niej korzystamy, chociaż łódka wygląda wyjątkowo wątło. Niemniej – chłód bijący od wody jest bardzo przyjemny. Lokalny flisak kieruje pirogę w pewne miejsce, gdzie nagle rozlega się dość charakterystyczny hałas. Są to hipopotamy. W końcu widzimy (wprawdzie z dość daleka) pierwszą afrykańską dziką zwierzynę. Podziwiamy hipopotamy z bezpiecznej odległości i wracamy roztrzęsieni i zadowoleni na brzeg.

Po nocnym odpoczynku wstajemy wcześnie, pakujemy samochód i ruszamy w drogę. Opuszczamy Burkinę Faso i wracamy do Mali. Według mapy wybrana przez nas droga może być gruntowa i to nie najlepsza. Jesteśmy zaskoczeni, bo jest to nowa droga asfaltowa. Cieszy nas to, bo oszczędzi to nam sporo czasu. Cały dzień jedziemy. Zatrzymujemy się tylko od czasu do czasu, by zrobić kilka zdjęć. Mijamy Bla, Segou i późnym wieczorem docieramy do Bamako. Tutaj nie możemy odnaleźć właściwej drogi. Główne drogi prawie w ogóle nie są oznakowane. Bazujemy więc wyłącznie na waypointach z naszego GPS-a, ale posiadane mapy nie są zbyt dokładne, więc wielokrotnie gubimy drogę. W końcu jednak udaje się nam przekroczyć rzekę i docieramy w znajome okolice. Po przejechaniu po Bamako blisko 80 km udaje się nam wydostać do miasteczka Kati, gdzie planujemy nocleg. Niestety – nie udaje się nam znaleźć żadnego hotelu, więc decydujemy się na dalszą podróż. Rozpoczynamy poszukiwanie drogi do Kayes. Ci, których pytamy o drogę, plączą się i wskazują różne kierunki. Widocznie ta miejscowość jest zbyt daleko. Dopytujemy się więc o inną, o nazwie Kita, i od razu trafiamy na właściwą drogę.

Rano, już w Kita, uzupełniamy zapasy paliwa. Próbujemy dopytać się o drogę do granicy z Senegalem, ale każdy zapytany kieruje nas w inną stronę świata. Wyruszamy więc na poszukiwanie jaskiń, które mają być zlokalizowane w pobliżu miasta. Nie udaje się nam to, natomiast znajdujemy ładne formacje skalne w rejonie Mont Kita Kourou. Stamtąd kierujemy się na Toukoto. Jedyne co wiemy, to że wioska znajduje się przy torach linii kolejowej Bamako – Dakar. Linii, która będzie wyznacznikiem naszej podróży już do samej stolicy Senegalu. Naczytaliśmy się sporo o fatalnej drodze na tym odcinku, ale odcinek do Kity nieco nas uspokoił. Za Kitą jest trochę gorzej, ale zwalamy to na karb budowanej tutaj (o dziwo – przez chińczyków) drogi. Niestety po kilku

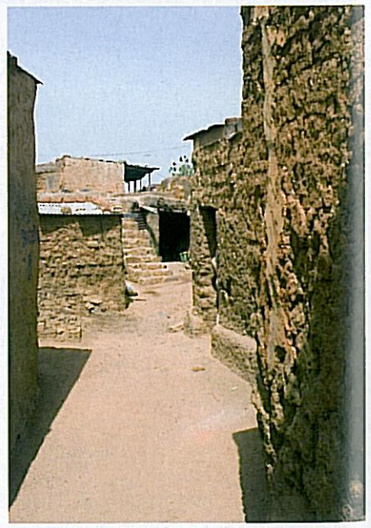

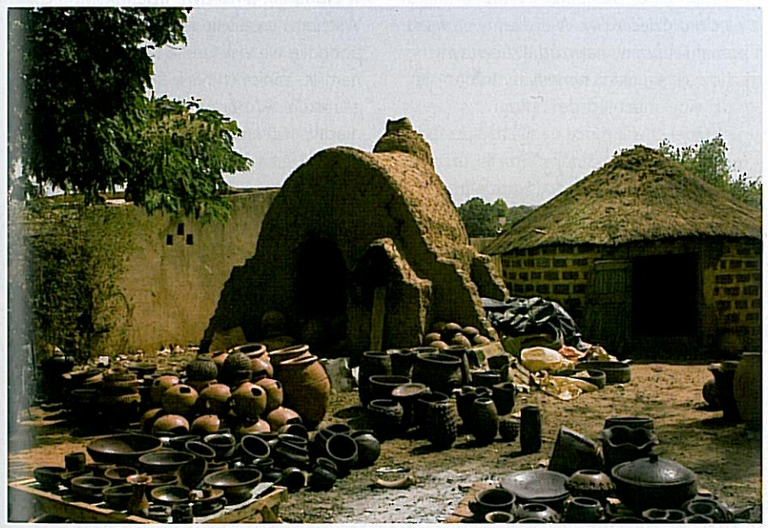

kilometrach budowa się kończy i zaczyna się podróż po polnych drogach.

Mijamy kilka wiosek, w każdej dopytując się o Toukoto. Pytanie o Kayes (ostatnie miasto w Mali na naszej trasie) jest bezcelowe – większość mieszkańców nawet nie wie, że takowe jest. Trzymamy się torów kolejowych. Przejeżdżamy przez straszne pustkowia, na których czasami jedyną roślinnością są pojedyncze kaktusy. Mijamy wiele koryt wyschniętych rzek, a także ciekawych formacji skalnych. Przez większą część dnia towarzyszy nam dźwięk cykad. Jak je usłyszałem to w pierwszej chwili myślałem, że mamy jakąś usterkę samochodu, ale gdy wyłączyłem auto, a dźwięk tylko przybrał na sile, to się uspokoiłem. Po drodze mijamy również kilka opuszczonych osad, w których zauważyliśmy pozostałości życia Europejczyków (inne budynki, infrastruktura techniczna, etc.). Przed Toukoto zarzuca nam samochodem na piasku i słychać tylko głuche uderzenie – coś się stało. Nie wiemy jeszcze co, ale wiemy, że coś niedobrego. Zatrzymuję samochód, wychodzę i już wszystko jasne – uderzyliśmy bokiem opony tylnego koła o ukryty w piasku pień drzewa. Uderzenie było na tyle silne, że w oponie powstała spora wyrwa. Guma nadaje się już tylko do wyrzucenia. Zdejmuję graty z dachu i przystępuję do wymiany koła.

Dziewczyny w międzyczasie przygotowują ciepły posiłek – po raz pierwszy uruchamiamy przetwornicę 220 V – to działa nawet w połączeniu z czajnikiem.